

*W zwierciadle, niejasno*

---

– Ludzie, ale skupcie się, błagam!

Spojrzałam po klasie. Szczerze, miałam ich dość. Zachowywali się jak małe dzieci. Dosłownie: czułam się, jakbym utknęła gdzieś na początku podstawówki. Dziewczyny skupione na sobie – wymieniały się tajnymi (niewątpliwie) informacjami, czemu towarzyszyły bezustanne krzykliwe śmiechy i symultaniczne poprawianie włosów... Nie wspominam o malowaniu paznokci i całym tym makeup-owym ekwipunku. Natomiast chłopcy zorganizowali sobie ze sto pięćdziesiątą w tym miesiącu żywiołową dyskusję dotyczącą polityki albo sportu (nie miałam ochoty się wsłuchiwać). W każdym razie byli niemiłosiernie głośno. Jak dzikie małpy w dżungli. Naprawdę, to jakieś nieporozumienie! Zupełnie nic się nie zmieniło od dziesięciu lat. No, może tylko przybyło

telefonów (które, swoją drogą, dodatkowo odwracały uwagę od tego, co starałam się powiedzieć).

W tym wszystkim jedynie Misia zdawała się mnie zauważać. Próbowwała nawet ratować sytuację. Spanikowanym, ale ciągle cichym głosem (niesamowite! Jak ona to robi?), stękała z trzeciej ławki:

– Słuchajcie, Janka ma ogłoszenie... To ważne...

Ale jej głos zupełnie tonął w panującym wokół nas gwarze. Jedna z dziewczyn w pewnej chwili przypadkowo uderzyła ją łokciem, przysuwając się do koleżanek. Rzuciła niedbałe: „Wybacz!”, a reszta jej grupy zachichotała. Głośno, w stylu małym. Mocno mnie irytując.

Zaczęłam nawet wątpić w przypadkowość tego łokcia.

– Halo! Przecież trzeba się na coś zdecydować, bo, poważnie, wyjdziemy na nieudolnych kołków! – kolejny raz starałam się zabrać głos. – Maturzyści kończą szkołę za dwa miesiące, a to wcale nie jest dużo czasu, jeśli chcemy przygotować dobre pożegnanie. Chyba tyle rozumiecie? W zeszłym roku drugie klasy naprawdę się postarały! 3c załatwiła nawet te metalizujące... balony z helem.

Nie, nie rozumieli. Zauważyłam, że naprawdę *nikt* mnie nie słucha. A projekt mieliśmy zrealizować całą klasą, bez pomocy nauczycieli. Takie były w naszej szkole piękne, idealistyczne zasady. I wszyscy doskonale zdawali sobie z tego sprawę. Już bez żartów traciłam

cierpliwość – gdyby to była jakaś zawodówka na wsi (z całym szacunkiem)! Ale poważane, prestiżowe LO z wieloletnią tradycją!? Jak lubiła mawiać pani dyrektor: *elitarna placówka*. „Elitarna placówka”, błagam!

A najgorsza była świadomość, że to mnie się dostanie po wszystkim za tę niesubordynowaną bandę. W razie jakbyśmy zawalili... Więc nie mogłam sprawy olać.

Yes. Mogłam tylko pluć sobie w twarz! Bo dlaczego znowu dałam się zrobić w samorząd?

Każdego roku postanawiałam sobie, że tym razem niczego się nie podejmę, ale ostatecznie lądowałam na stanowisku przewodniczącej. Tak, zero asertywności. Dotarło to do mnie (w tych niezbyt szczęśliwych okolicznościach) i z rozpaczą pomyślałam, że chyba naprawdę jestem masochistką.

Popatrzyłam w kierunku najgłośniejszych chłopaków. Wojtek siedział z nimi i śmiał się z idiotycznego żartu Kuby Zalewskiego. Zalewski też się śmiał, mówiąc delikatnie. Dusił się prawie, tak go rozbawił jego własny dowcip.

– Dobrze, nie? Słyszałeś to, Kukaaa!?

„Kuka” to właśnie Wojtek. Chyba od zawsze. Wojtek Kukiński. Kuka.

No, właściwie nie od zawsze, ale teraz już raczej nikt nie wiedział, z czego to się wzięło. W sumie nie mogli

wiedzieć, bo nikt nie chodził do tej samej podstawówki co my – w Jaśkach, małej dzielnicy na obrzeżach miasta. Z klasy tylko my dwoje stamtąd pochodziliśmy. A, i jeszcze Tomek Żeromski (tak, Żeromski, dokładnie jak Żeromski – pisarz od „Przedwiośnia” i „Ludzi bezdomnych”). Ale nie byłam pewna, czy Żeromski pamięta cokolwiek z czasów szkoły podstawowej. Kto wie, co siedzi głowie Żeromskiego?

On już w gimnazjum dojeżdżał do centrum. I zasadniczo z nikim nie rozmawiał. Chyba tylko ze swoim komputerem (bez kpiny, ale słyszałam kiedyś, jak dziewczyny niezbyt sympatycznie komentują, że asystent google to dla Żeromskiego najbliższa osoba w szkole). Nie zakładałabym więc, że teraz pamięta, jak w drugiej klasie śpiewaliśmy na ocenę piosenkę o kukułce i Wojtek zaśpiewał tak ładnie, że pani od muzyki prawie umarła z zachwyty, a potem wszystkim o tym opowiadała. Wojtek występował z tym numerem na kilku kolejnych szkolnych akademiach. I mniej więcej wtedy właśnie przestał być Wojtkiem, a zaczął być Kuką. Było super, wszyscy się z tego śmialiśmy, łącznie z nim. Śmiał się dokładnie tak jak teraz. Tylko, że teraz jego jasnoszare oczy zdawały się w ogóle nie widzieć moich. Pomyślałam, że jednak coś się zmieniło od czasu podstawówki. Kiedyś Wojtek bez zastanowienia by mi pomógł. Uciszyłby tę hołotę

i byłyby to najnaturalniejsza rzecz na świecie, bo każdy wiedział, że mieszkamy obok siebie, że znamy się od pie-luch, przyjaźnimy, razem przychodzimy do szkoły...

Poczułam bardzo szybko dwie emocje – najpierw zorientowałam się, że trochę zaboląla mnie ta wędrówka w przeszłość, a zaraz potem zrobiło mi się wstyd, że mnie zaboląla. Jestem taka dziecinna, ludzie dorastają! Już po prostu nie jesteśmy tak super blisko. Nie mamy wspólnych tematów ani znajomych, ani zainteresowań... Tyle. To normalne. *Normalne!*

Naturalnie, że tak... A jednak ciągle wydawało mi się dziwne. Jakby pod rozwichrzoną, płową czupryną Wojtka znajdowała się teraz inna osoba. Bo właściwie oprócz czupryny i oczu nic już nie było takie jak kiedyś.

– Ej, patrzcie, Królowna się zawiesiła! – Zalewski brutalnie wyrwał mnie z rozmyślań.

„Królowna” albo „Królowa” to właśnie ja, Janina Król. Tak mówili w szkole.

– I dobrze, nareszcie błogosławiona cisza!

Uśmiechnęłam się połową twarzy i uniosłam brwi. Cisza? Błagam, przecież jest taki zgiełk, że na sto procent słyszą nas na trzecim piętrze.

– Dokładnie! Janina, dobrze, że odpuściłaś – do Zalewskiego dołączył solidarnie Krzysiek Pawlikowski. – Jakież dyrdymały nam tu serwujesz.

Pewnie bym się oburzyła w tym miejscu, gdybym już nie była oburzona. Stałam bez słowa, przytłoczona stężeniem żenady wokół mnie. A Pawlikowski się rozkręcał:

– Niech się tym zajmie samorząd! Albo pomniejsi wolontariusze-frajerzy, którzy nie wiedzą, co począć ze swoim wolnym czasem – dorzucił błyskotliwie. – Ooo! Może ogłosicie przez radiowęzeł albo gdzieś w necie: szukamy uczynnych frajerowatych typków, co by godnie zorganizowali ostatnie pożegnanie dla biednych, opuszczonych przez los maturzystów!

– Genialne, Pawlikowski – starałam się dla dobra wspólnego stłumić w sobie wszechogarniające politowanie.

– Ale muszę cię rozczarować, bo dostaliśmy od pani dyrektor konkretne wytyczne i to raczej nas los opuści, jeśli...

– Boże, jak ty nudzisz, dziewczyno! Zmęczyłem się – przerwał mi chamsko w połowie zdania i odwrócił się do Wojtka. – Przyniosłeś to, o czym mówiliśmy, Kuka? Pokazuj!

Wojtkowi od początku akcji uśmiech nie spełzał z twarzy. Wyciągnął z kieszeni jakiś super-prześwieceniowy nowoczesny sprzęt elektroniczny (nie znam się) i podał Krzyśkowi.

– Łap! A ty daj już spokój, Król. Jest masa czasu.

– Hej... – próbowałam walczyć, ale czułam, że siły mnie opuściły. I głowa zaczęła mnie boleć.

Na domiar złego i absolutnie mimo moich wysiłków, by to zatrzymać, brzęczało w niej jak jakiś tragiczny refren słowo „Król”. Taak, wiem przecież, że jesteśmy teraz ze sobą po nazwisku.

Miśka przepraszała mnie ze dwieście razy, próbując jednocześnie pocieszać, ale i tak całą drogę ze szkoły na przystanek szłam w lekkiej depresji. W dodatku równoległe dręczyły mnie wyrzuty sumienia. Bo nie mogłam się zdobyć przed nią nawet na udawanie, że jest dobrze. Brudny śnieg i piekielne zimno wcale nie pomagały.

– W porządku, Misia, nie przejmuj się – przemówiłam w końcu. – Jeśli to, co powiedział na odchodnym przewodniczący 2f, jest prawdą, to w poniedziałek wszystko się wyjaśni i zorganizujemy tę imprezę międzyklasowo z wielką pompą. Osobiście uważam, że to świetny pomysł, żeby połączyć siły. Fajnie, jak każda klasa miała swój czas i klimaty się zmieniały, ale wspólnie to dopiero będzie można stworzyć jakiś konkret.

Zdawało mi się, że wypowiedziałam te słowa pewnym głosem i że są logiczne, ale chyba i tak brzmiały komicznie, wypłukane z wszelkiego entuzjazmu. Na szczęście wiatr nieco mnie zagłuszał, a Misia patrzyła przez zmrozone okulary, więc była jakaś szansa, że nie dotknął jej mój mechaniczny ton.

– Co to w ogóle ma być, ja się pytam! Marzec? – zawołałam dla lekkiego ożywienia. – Obłąd jakiś!

Miska uśmiechnęła się, na ile pozwoliły jej warunki atmosferyczne.

– To prawda! Pogoda w tym roku nie jest normalna. Będziesz dzisiaj na spotkaniu w katedrze? – rzuciła, gdy już wsiadałam do autobusu.

– Jasne! – też próbowałam się uśmiechnąć, ale właśnie zobaczyłam Wojtka przyklejonego do jakiejś blondyny na tyłach autobusu. – Jeśli tylko nie zamarznię gdzieś w drodze ze swojej wioski, to będę!

Miałam nadzieję, że Misia wzięła mój nieudany uśmiech za zdrętwiałość szczęki.

– Pa! – zawołałam jeszcze.

– Pa!

Zanim zamknęły się drzwi, patrzyłam, jak macha mi na pożegnanie. Jest urocza, pomyślałam.

Usiadłam mniej więcej w połowie długości autobusu. O tej porze jeździło sporo osób, ale znalazło się miejsce.

Dobrze. Mogłam wyciągnąć notatki i przygotować się do wieczornego spotkania grupy dzielenia. Na chwilę zapomnieć o parze splecionej gdzieś za mną i skupić się na treściach z poprzedniego tygodnia. Choć to też nie napawało entuzjazmem. Bo oczywiście znowu nie zrobiłam nic od zeszłego razu. Co piątek przyłapywałam



się na zerowej pracy własnej. A przecież na rekolekcjach podczas lata postanowiłam, że to zmienię, że podejść do sprawy na poważnie...

Spojrzałam w swoje odbicie w szybie: Czy ja w ogóle zachowuję się jak osoba zaangażowana w Kościół?

Tak naprawdę, to sprawy wiary spychałam gdzieś na margines planu dnia... a nawet tygodnia. Niezmienne, nie czarujmy się. Moi rodzice od zawsze byli blisko Boga, a ja jeździłam z nimi w wakacje na oazy. Ale dopiero zeszłego lata, gdy pierwszy raz pojechałam sama z grupą młodzieży, zrozumiałam, że to kwestia bardziej indywidualna; że każdy musi zdecydować sam w sobie, czy chce być w relacji z Bogiem, czy nie. Ba, musi zdecydować, czy w ogóle to wszystko prawda. Czy *On jest*, i dopiero *jeśli On jest*, to czy warto *być z Nim*. Postanowiłam, że chcę spróbować. Tam, na rekolekcjach było coś wyjątkowego – to na pewno. I nie mogła to być tylko psychologia tłumu. Ludzie się otwierali, płakali przed Bogiem, a On przemieniał serca, leczył rany. Wszyscy patrzyli na siebie tak inaczej, naprawdę z miłością. Teraz, jak o tym myślałam, wydawało mi się to odległe i wręcz wątpliwe. Jak oaza – fatamorgana.

Tutaj jest trudniej. I tutaj się tak nie da.

Przerwałam te średnio optymistyczne rozmyślenia, bo znów zaczęłam skupiać się na Wojtku i tej pięknej,

siedzących za mną. Zdawało mi się, że słyszę odgłosy bardzo bliskiej zażyłości, dochodzące z ich strony – chyba się rozkręcali. A to wcale nie pomagało. W dodatku zupełnie nie mogłam sobie przypomnieć, jakie mieliśmy postanowienie w ostatni piątek. Szukałam podpowiedzi w kartkach rozrzuconych na kolanach, ale nic z tego. Moje notatki, przemoczone wodą kapiącą z warkoczy nie przywróciły mi pamięci. Mogłam zapytać Misi, ale nie wiem, czy to by coś dało, bo pewnie i tak bym już nie zdążyła wykonać tego postanowienia. Trzeba będzie się powstydzic i coś poszyć.

Prawie przegapiłam swój przystanek, tak byłam zajęta ciężkimi analizami w swojej głowie. Wojtek nie wysiadł – pewnie jechał do tej dziewczyny, w wiadomych celach. Wolałabym nie myśleć o tym, ale i tak bezwiednie odwróciłam głowę i spójrzałam na odjeżdżający autobus. Wydawało mi się przez chwilę, że on też za mną patrzył, ale tak naprawdę nic nie było widać, bo szyba była zaszroniona i zaparowana. Weź się w garść, pomyślałam i ruszyłam w stronę domu.

Tego dnia Żeromski po raz pierwszy przyszedł na spotkanie. W sumie to był podwójny szok – Żeromski nie tylko się pojawił, Żeromski się odzywał.

*Uśmiechał się.*

Trafił do naszej „małej grupy” (byliśmy we wspólnocie podzieleni według wieku na mniejsze oddziały – grupki

dzielenia), więc co chwila wymienialiśmy z Misią spojrzenia typu: „Też tu jesteś, tak? Też to słyszysz?”. Otóż, Tomek Żeromski bez większej krępacji, z zaangażowaniem opowiadał, kim dla niego jest Bóg i jakie zajmuje miejsce w jego życiu. Patrzyłam chyba z otwartymi ustami, bo gdy zerknął w moim kierunku, to uśmiechnął się cały ucieszony. Szybko wzięłam się w garść.

– Tak więc u Salezjanów dużo mówiliśmy o niewłaściwych obrazach Boga i bardzo mi to pomogło – słyszałam jego słowa, ale mój mózg ciągle odmawiał połączenia ich z jego twarzą.

– Choć oczywiście nie jest idealnie. Dziewczyny tutaj mogą zaświadczyć, że w szkole nie za bardzo potrafię się otworzyć na innych. Mam też sporo przywiązań, które mi Go przysyłają, ale nie zamierzam rezygnować. Dlatego w końcu postanowiłem poszukać wspólnoty, bo tak jest łatwiej – liczę na wasze wsparcie! No i grunt, to trzymać się Słowa, codziennie się Nim karmić.

Zakończył Żeromski swoje krótkie świadectwo. Miśka kiwnęła głową, gdy o nas wspomniał. Bardzo dobrze, bo ja byłam jeszcze w stanie zawiasu, z tym raczej tępowym wyrazem twarzy. To było najdłuższe kilka zdań, jakie kiedykolwiek usłyszałam z ust tego człowieka, a teoretycznie znamy się od podstawówki! Nawet nie wiedziałam, że chodził do gimnazjum salezjańskiego...

Do końca spotkania nie mogłam się skupić. Rzuciałam co jakiś czas kilka słów od siebie, całkiem mechanicznie. Jestem w tym dobra, bo siedzę w środowisku oazowym długo. Modlitwa (trochę przysypiałam, bo prowadziła taka smętna dziewczyna) i wreszcie do domu.

Dorwałam Żeromskiego, który już był w połowie drogi na przystanek:

– Ej, Żeromski! Od kiedy ty potrafisz mówić?! – wyrwało mi się dość niegrzecznie, tak, że Misia, biegnąca za mną, wysapała ze zgrozą: „Janka...!”

Żeromski spojrział na mnie z góry (zaskoczyło mnie nagle, jaki jest wysoki; chyba nawet wyższy od Wojtka), ale na szczęście nie wyglądał na szczególnie urażonego, raczej faktycznie bawiła go ta sytuacja.

– Jestem Tomek, chyba tyle wiesz.

– No... tak. Wybacz, przyzwyczajenia szkolne, tak się zdaje. Więc? Co tu robisz?

– Mówiłem: przyszedłem, bo czuję się słabo bez wspólnoty. A wy? Długo jesteście w tej grupie?

– A... Wiesz, ja właściwie czwarty rok, od drugiej klasy gimnazjum – odezwała się Misia. – Mieszkam tutaj obok, więc mam blisko. Janka dołączyła w zeszłym roku, a wcześniej była związana z parafią u siebie w dzielnicy.

Misia, o dziwo, jakby łatwiej znosiła niecodziennosc sytuacji i wypowiadała się za nas obie. Taki ciekawy